

JÓZEF LASOŃ.

BĄCZEK.

(Ze wspomnień Legionisty).

II.

Przylączył się do kompanii niewiadomo kiedy i gdzie. Początkowo siedł z pierwszym plutonem, później z którymkolwiek, na docinki złośliwie odpowiadając. Mógł mieć około lat 14, fizycznie dość rozwinięty, o twarzy śniadej, orlim nosie i błyszczących nadzwyczajną inteligencją i rozumą oczach. Czarne włosy okalały twarz jego, wysuwały się z pod czapki strzeleckiej. Ruchy energiczne, sprężyste świadczyły o zwinności małego strzelca. Ubrany był kompletnie. Siwy, nowiutki mundurek leżał na nim, jak na lalce. Sztuce, żółte buty wojskowe, pas i plecak dopełniały umundurowania.

Śmiali się z niego, że, jak dostanie karabin Wern-dla, to musi sobie drabinkę sprawić, aby się zrównać z karabinem. Trzymając na ramieniu damską dubeltówkę, odwracał się, z gniewem mówiąc:

— Mam już karabin! Nowiutka dubeltówka.

— Cóż ty na zające się wybierasz z tą dubeltówką?

— Zobaczymy!? Zobaczymy!? — mruczał pod nosem.

— Hej obywatelu! — krzyknął Gruby, podoficer z pierwszego plutonu. — Jak się nazywacie? He! Kto was do naszej kompanii przydzielił?

— Mścibój mam pseudo! — odparł. — Sam się przydzieliłem. Nie chcieli mnie przyjąć, do kompanii wcielić, to idę z waszą kompanią.

— Mścibój! Mścibój! — żartowali z niego. — To ze dwanaście lat musicie czekać, aż urosiecie, aż będziecie prawdziwym mścibojem.

— Dobrze! Dobrze! — wykrzywił twarz złośliwie, język drażniącym go wystawiając.

Z Krakowa wyruszył razem z batalionem cap, podarowany przez jakiegoś obywatela, a ofiarowany na pożarcie zgłodniałym strzelcom. Ktoś mu rogi owinał czerwonym płótnem, tak jakby sztandar chciał uczynić z rogów capa. Wiernie tedy towarzyszył, trzymając się przeważnie trenu, gdyż najczęściej przysmaków rozmaitych rzucali mu żołnierze od trenu. Ale pozatem swobodnie płał się pomiędzy kompaniami, łbem potrząsając, z figlów bódł zaczepiających go i drażniących. Wogóle nie tylko on jeden towarzyszył, gdyż i psów kilka wlokło się za batalionem, pilnie bacząc na porę posiłku. Nieraz tedy proponowano Mścibojowi, aby na capa siadł, odpowiedni konik z niego będzie. Mówiono mu, aby siodełko dał sobie zrobić w Kielcach, a jak do Warszawy wejdzie pułk polski — to on pierwszy na swoim koniku wjedzie i przedstawi się pięknym Warszawiankom.

Najwięcej jednak nabierali Mściboja na odpoczynkach. Przekreślali nazwisko, zwali umyślnie źle, aby jeden drugiego mógł poprawiać tak, jak on się właściwie nazywa. Ale nie były to żarty ze złego serca, ze złośliwości wypływające. Była to niby rozrywka wspólna, czasem jednakże niejednemu dobrze się dająca we znaki.

Nieraz wieczorem, na kwaterze siedząc, namyślali się, jakby Mściboja nazwać inaczej, inne pseudo mu nadać. Szczególnie obywatele z pierwszego plutonu sypali rozmaitemi „pseudami” jak z rękawa, ale żadne nie przypadło nam do gustu.

Mścibój zaś tylko się uśmiechał i udawał, że to go nie, a nie interesuje, ani nie obchodzi. Sądził się na koncepta — jak sam mówił zwykle — to tylko dobre, ale nie takie jak te, nudne.

„Sadzili” się przeto, aby mu imię jakieś dla jego figury odpowiednie wymyślić, ale to wszystko było mdłe i niesmaczne.

Ale też i kochali go bardzo. On zaś cieszył się, że wlaź w taką kompanię, gdzie wprawdzie czasem dopieklili, ale też i wesoło zawsze było i śpiewy w marszu i harmonijki ustne na kwaterach wieczornych.

A wieczorami na wypoczynku jak się „paka” zebrała do kąta, w siano wtuliła po uszy i dalej opowieści snuć... to dowcipne... to przesolone... Za brzuch nieraz trzymać się musiała od tego śmiechu.

To też Mścibój pomimo licznych przykrości nie zmieniał już kompanii. Dobrze mu tu było i wesoło.

Nieraz sam nawet podmawiał, aby zacząć obrabiać kogo, choć wiedział, że najczęściej on padnie ofiarą, bo wszyscy od niego zawsze zaczynali nacierania.

Wreszcie znaleźli coś dla Mściboja odpowiedniego.

Pewnego wieczora z tajemniczą miną zwołał pierwszy pluton podoficer Gruby i Mściboja do środka zaprosił.

Wytrzeszczył oczy, począł się patrzeć na nich, jak na waryatów, później spytał:

— Cóż to nowego będzie?...

— Co? Co! Nie wiecie?

— Nie!

— Wielka uroczystość! — odparło kilku.

— Jaka uroczystość? — zapytał Mścibój zaciekawiony, myśląc, że jakaś niespodziewana wieść przysłała do pułku.

— Chrzcziny będą! — krzyknęli wesoło.

— Czyje?

— Zaraz się dowiecie! Tylko Gruby przyjdzie z „pępkówką”!

Po chwili z poważną miną przybiegł podoficer Gruby, dzierżąc pod pachą dwie, do niewoli zabrane w Miechowie, flaszki z *aqua vita*, czyściutką rosyjską monopolką. Zrobił poważną minę, jakby przed aparatem fotograficznym i tragicznym gościem podniósł obie flaszki do góry, przemawiając:

— Mściboju! Dziś cię ochrzczymy! Oto na chrzest twój postarałem się o to kadzidło.

— Ja już chrzczony jestem! — odparł Mścibój.

— To nic! Ale do kompanii nie jesteś wpisany i przyjęty.

— Słusznie! Słusznie! — rozległy się głosy.

— Wiecie co? — krzyknął Gruby — Nazwijmy go Bączek. No i co? Zgoda?

Śmiech, gwar towarzyszył słowom Grubego.

— Ja mu będę chrzestnym ojcem! — krzyczy jeden.

— Ja chrzestną mamą!

— Ja zaś akuszerką!

Chwycili go na ręce, podrzucać poczęli do góry, huścić, jakby lalkę jaką. Złościł się, gniewał, krzyczał, ale nic nie pomogło. Złali mu głowę wodą, wódką natarli twarz, później na chrzciny zaprosili plutonowych. Krzyku, hałasu co niemiara. Flaszka z wódką krążyła dokoła, póki ostatnia kropla nie wysączyła się z mej do spragnionych ust strzelca. I tak Bączkiem pozostał.

W niedługi czas potem po złożonej przysiedze w Kielcach odebrano wreszcie stare karabiny Wern-dlowskie, a zastąpiono je nowymi Manlicherami.

Mścibój jednakże skwitował z Manlichera, a pozostał przy swojej damskiej dubeltówce. Tylko w Kielcach dał sobie rymarzowi dorobić pas boerski na naboje, w który powtykał ładunki i tak przewiesił przez plecy.

— Za ciężki dla mnie Manlicher — mówił — zresztą gdyby to jeszcze 95 model, to może by mi tak ręka nie drżała, ale przy tym 90 modelu, to cały się trzęsę. Wolę już tę moją dubeltówkę, choć ona niby na zające jest, ale zobaczymy te zające.

Zato ustawicznie wzdychał do sztucera kawalerskiego. Bo sztucer — mówił — zgrabny jest, mały, ani w marszu mi nie zawadza, ani też przy strale. Jestem wówczas pewny strzału. Ja mały, sztucer także mały.

Ale z piechurów nikt nie miał sztucera. A z konnicy znów nikt się nie chciał przemienić za Manlichera, gdyż nie tak łatwo było o nowy i dobry do tego sztucer.

Tak też Bączek z dubeltówką ustawicznie marszerował.

W marszach często napotykanne treny zaczepiał, prosił się żołnierzy austriackich, pruskich, aby mu sztucera podarowali. Ot, mały sztucer, to całe jego marzenie i kenik do tego czarny, toby dopiero wojował. Żołnierze zaś odpowiadali z uśmiechem:

— Do szkoły bracie! Do szkoły! Tabliczkę noś i rysik, a nie na wojnie zawadzać!

— Po cóż on idzie? Strzelać nawet nie potrafi — pomiędzy sobą mówili.

Hardą miał naturę i butną. Żeby nieraz zaciął, gdy mu dokuczali, odcinał się na lewo i prawo, językiem ciął ostro, stawał się z każdym dniem więcej złośliwym. Często odłączał się od kompanii, włóczył się Bóg wie gdzie samodzielnie. Łobuz i wisus stał się z niego.

Ustawicznie marzył o sztucerze i czarnym koniku i przemysliwał, jakby to zdobyć. Potyczek większych jeszcze nie było, drobne tylko utarczki z przedniemi strażami, ciężko więc było zdobyć coś samodzielnie.

* * *

Jak przyszedł Bączek, tak też pewnego dnia z kompanii zwiął. Zatracił się gdzieś, zniknął jak kamfora i nikt nie wiedział, co się z nim stało. Rozmaicie potem mówiono w kompanii o Bączku. Jedni twierdzili, że widzieli go rannego w Jędrzejowie — drudzy znów mówili, że prawdopodobnie

zwiął do domu, sprzykrzyło mu się to polowanie, tem bardziej, że zające wystraszone puciekały z okolic Kielc, powynosiły się do innej gubernii. Żalowali go bardzo, bo smutno się zrobiło bez niego w kompanii — nie było kogo zaczepiać — zresztą nikt się tak, jak on, odcinać nie potrafił.

— Bączek w pieleszu, u mamy i papy pewnie teraz będzie! — śmiali się. — Babcia mu okłady zimne i gorące robi.

— Albo też przy innej kompanii jest — tłumaczyli drudzy. — Sprzykrzyło mu się u nas, za bar-dzośmy mu dokuczali, tak też zwiął, na wieki wie-ków amen.

Tak też zaginął ślad o Bączku.

Wspominali go jeszcze czasem, ale już coraz rzadziej, aż wreszcie zupełnie o nim zapomniano.

Był, żył, zginął, zwiął — niema go — i kwita. Zapomniano o nim zupełnie.

Dopiero przy drugim powrocie do Kielc opowiadali o małym chłopaku, który, podczas największego ognia karabinowego, za linię tyralierską się podsunął i dwóch oficerów z dubeltówki zabił. Potem przy Kielcach, zaczajony przy drodze, w rowie, do przejeżdżającego automobilu wystrzelił, oficera dwoma kulami w głowę trafił. W nagrodę za to dostał upragniony sztucer i podobno guldena od pułkownika Piłsudskiego.

— To pewnie Bączek — mówili potem w kompanii. — To pewnie nasz Bączek, któregośmy tak wesoło ochrzcili. To ci szelma sprytna.

W parę dni potem do kompanii przyszedł, ze starymi druhami przywitał się. Oglądali go dokoła, ustały już drwinki i dowcipy, poważnie poczęto go traktować. To już nie ten Bączek, co na zające się wybierał — to prawdziwy zuch. Począł opowiadać, jak się przedzierał przez gęstwinę, jak podkładał cichaczem i sprzątnął ich z dubeltówki. A twarz mu rozgorzała, ogniem zapłonęłylica.

— Nie na zającem się wybrał! — mówił z dumą — Ale na grubą zwierzynę. Ja tam co lepsze wybieram. Wy sobie strzelajcie do szeregowców, ja zaś na oficerów poluję.

Wbiło go to w dumę, hardym się stał, zarozumiałym trochę przytem. Ale każdy z nim chciał rozmawiać, bo sławę już miał — na grubą zwierzynę polował i dobrze umiał polować.

— Żeby tylko konika dostał — z grymasem na ustach mówił. — Tobym wam pokazał! Ho! Ho!...

Sztucer z ramienia zdjął, odciągnął zamek, nab-

karabin. — O patrzcie! Jaki nowiutki karabinek dostałem. Teraz dopiero pukanina będzie. Patrzcie, jak leciutko chodzi.

Wyładował karabin, naboje schował do ładownicy uśmiechając się wesoło.

— A gdzie dubeltówka? — spytano go.

— Dubeltówka?!...

— Tak.

— W mogile leży ciemnej.

— Cóż się z nią stało?

— Ano co! Kiedym dostał karabinek, dubeltówkę wpakowałem do wozu i dyabli nadali, że mi ją połamali. A chciałem koniecznie zachować ją dla siebie. Po wojnie miałbym być pamiątkę. Nie dość na tem, to jeszcze ci obrzydliwi treniarze pogubili gdzieś połamane części, tak, że już na dobre z nią się pożegnałem. Ale, wiecie co?

— No?...

— Jestem teraz przydzielony do trenu! Powiedział mi lekarz, że mi się nogi schodziły, tak muszę je teraz wozic, zamiast one mnie nosić!

— To będziesz niedługo inwalidą?! — zaśmiali się.

— O, co to, to nie! Chyba po śmierci!

Wykreślił się na obcasach, poprawił karabin na ramieniu i prędkim krokiem oddalił się w kierunku trenu.

* * *

Przy stoliku w pokoju inspekcyjnym, oficer W. siedział, raport wieczorny pisał. Wyciągnął zegarek z kieszeni, popatrzył na godzinę. Szósta już dochodziła, raport jeszcze nieukończony, zmiana dyżuru bliska, a i na odprawę trzeba zaraz iść. Przeglądając notatki, wypadki dnia zestawiał, spiesząc się przytem. A tu, jak na złość, co chwilę ktoś wpadnie, od pracy go odrywa.

Ordynans stanął w drzwiach, zasalutowawszy, zaportował:

— Obywatel Sroka, czy wpuścić?

— Cóż do dyabła! — gniewnie oficer przerwał — Nie mógł wcześniej przyjść. Pewnie tam o jaki drobniaczek mu się rozchodzi, i głowę mi będzie zawracał.

— Wpuścić? — powtórnie ordynans zapytał.

— Wpuścić do cholery!

Sroka stanął przy drzwiach, zasalutowawszy, raportował: